

Henryk J. Kozak

coraz cichsze lata



Wydawnictwo Lubelskie

Henryk J. Kozak urodził się w 1945 roku na Podlasiu. Studia historyczne ukończył w 1969 roku na UMCS w Lublinie. Wiersze publikował w prasie literackiej oraz w antologiach:

Twarzą do słońca (1973)

Przebudzenie (1976).

Dotychczas wydał cztery zbiory wierszy:

W krajobrazie łagodnych słów
(1973),

Podróże do źródeł (1978),

Chwila (1979),

W cieniu ciszy (1982).

Jest laureatem kilku konkursów poetyckich — m.in. tom *Chwila* otrzymał Nagrodę Literacką I stopnia im. Józefa Czechowicza.

Exemplarz gratis

Henryk J. Kozak

**Coraz
cichsze lata**

Wydawnictwo Fabrykarskie

Henryk J. Kozak

coraz cichsze lata

Wydawnictwo Lubelskie

Opracowanie graficzne
MIROSLAW ZDRODOWSKI-ZDROZDOWSKI

Redaktor
JADWIGA BIAŁOWĄS

Redaktor techniczny
TOMASZ BIELSKI



ISBN 83-222-0417-5

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie
Lublin 1985

WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1985

Wydanie I. Nakład 1730+270 egz.

Ark. wyd. 2,5. Ark. druk. 5.

Papier druk. sat. kl. III, 70 g, 70×100 cm.

Oddano do składania w lutym 1985 r.

Podpisano do druku w sierpniu 1985 r.

Druk ukończono we wrześniu 1985 r.

Cena zł 60.—

Lubelskie Zakłady Graficzne w Lublinie
ul. Unicka 4. Zam. nr 405. I-2.

Niewiele pamiętam

Niewiele pamiętam
ledwie błękit nieba
choć
tyle razy smakowaliśmy go
z sitnickimi chłopakami
leżąc na wznak
w nadkrznieńskich łąkach

trochę las
uciekający od wsi
za ukryty
wśród żytnich pól
horyzont

żywiczną ciszę
pożniwnych dni
i dworski sad
i brzęczenie pszczół
i zapach ziemi
i radość z powrotu
jaskółek
do zawieszonych
pod okapami chałup
gniazd

tylko
spracowane dłonie matki

z każdym dniem
coraz wyraźniej
widzę
jak kroi chleb
jak rozczynia ciasto
i jak ukradkiem
błogosławi mnie
znakiem krzyża
na drogę

tylko jej słów
nigdy nie zapomnę
myślę i żyję
jej słowami
modłę się do jej Boga

tylko
moja pamięć o niej
jest wieczna

Kiedy przymykam oczy

Kiedy przymykam oczy widzę
dom
ogromny drewniany
na ganku matkę
z koszem
dojrzałych papierówek
a dookoła
upalne sierpniowe popołudnie
pachnące żniwami
i dalą która
tu się właśnie
zaczyna

dopiero gdy przymykam oczy
widzę
jak to daleko
aby tam wrócić
potrzeba
całego życia

Porozmawiajmy

Porozmawiajmy
jak brat z bratem
jak równy z równym
jak człowiek z człowiekiem
jak Polak z Polakiem

spotkajmy się
pod biało-czerwonym sztandarem
na placu przed fabryką
po sumie
w słoneczną niedzielę
albo tylko
wyjdźmy sobie naprzeciwko

niech nas połączy
troskliwa i serdeczna
biało-czerwona żarliwa
myśl o Niej

Mnie już tam nie chcą

Ja już tam nie wrócę
mnie już tam
nawet nie chcą
mnie jest tylko żal

nie do woli
wytarzałem się
w wysokiej
pachnącej księżycem
trawie
nie do syta
najadłem się
słodkich koszteli
i złotych papierówek
nie dość
napatrzyłem się
podlaskiej równinie
i dali
wschodom słońca
zachodom księżyca
i niczego
nie nauczyłem się
od tamtych ludzi

mnie jest tylko wstyd
że nie zapamiętałem
ich zaklęć

zapomniałem modlitw
że nie pamiętam
jak w upalne i drżące
lipcowe południe
pochylali się
nad snopem żyta
jak zimą
brnęli przez zawieję
aby pokłonić się
nowo narodzonemu który
ma nas oczyścić
i odkupić

mnie tylko coraz częściej
boli serce
i już dwa razy
śniła mi się
śmierć
a tam
chrzciny wesela

mnie już nie chcą
ani tu
ani tam

Fragment zyciorysu

Kiedy wyjechałem i długo
mnie nie było
wieś powiedziała
że pewnie
gdzieś karierę robię
byli też tacy którzy
widzieli mnie
wielkim panem
w telewizji

lecz gdy niespodziewanie
po latach wróciłem
w tej samej
wiatrem podszytej
jesionce
orzekła że zmarnowałem życie
i że jak mój dziad i ojciec
pobłądziłem
goniąc za mrzonkami
wtedy wyjechałem
na zawsze

Nadal bez wytchnienia

W dzikich jagodach i malinach
w poszyciu leśnym zagrzebany
mówilem o urodzie trwania
bez żalu o snach
co wciąż się jednak
nie spełniają

wokoło dumne stały sosny
w zakłęcia
bożka lasów wsłuchane
krzaki jałowców
w poobiednim słońcu
spały

i widziałem
jak wszystko powoli
staje się ciszą
i zlewa się
z zielonkawobłękitnym niebem
jak wszystko co złe
zdarzyło się w życiu
odchodzi w zapomnienie

tego dnia byłem szczęśliwy
tego dnia wierzyłem
że szczęśliwi są
wszyscy ludzie

i że już nikt i nigdy
nie będzie cierpieć
i że już nikt i nigdy
nie będzie mieć wrogów

zawiodłem się przyjacielu
lecz nadal
bez wytchnienia
poszukuję szczęścia

Umykają dni

Umykają dni
pachnące jaśminem czerwce
mroczne i mokre
listopady
zawieruszają się gdzieś
lata całe

niepostrzeżenie
przebrzmiały plany które
przez długie lata
układałeś i w które
niezłomnie wierzyłeś

i coraz częściej
o zmierzchu
w pustym oknie stajesz
czegoś wypatrujesz

a nocami
śni ci się
tamta staroświecka miłość
tamte wigilie
i maje

Ucieczka w urojenia

Pierwszy dzień wiosny 1982 roku
postanowiliśmy powitać
z dala
od zgiełku miasta
zepsutych wind
starych zrędliwych przełożonych
ciągle tych samych gazet
kolejek schodów progów
rozmów o pieniądzach
karierach znanych nam głupców
wojennym stanie
markach samochodów
zaszyć się w lesie nad jeziorem
u ojca
jednego z kumpli

przypomnieć sobie
jak smakuje woda
z wiejskiej studni
chleb
z pachnącą strychem słoniną
nauczyć się znów
rękami łowić
w bystrych zimnych rowach
raki i ryby
z gwiazd wróżyć

świt
zastał nas już daleko
za miastem

na polach
w brudnych łąkach śniegu
dogorywał marzec
wił się z bólu
pod miedzami
i w rowach
drobnymi strużkami
mętnej wody
pojękiwał w nagich drzewach
w szparach
rozpędnionego samochodu

milczeliśmy porażeni
otaczającym nas pięknem
i ciszą która
jakby jeszcze
narastała

coraz mocniej
aż do bólu
swoich nieczułych dłoni
ściskałem kierownicę
jednak wrażenie
że wjeżdżam w nierzeczywistość
że się oddalam
od ziemi

życia
potęgowało się
powoli traciłem
poczucie swojego istnienia
miejsca
czasu
widziałem tylko słońce
ogromne
czerwone
niskie rozpalone niebo
płonący las na horyzoncie
ogniste ptaki które
nagle stamtąd nadpłynęły

słyszałem głosy
miękkie i ciepłe
(takimi głosami pewnie
nimfy wabiły Orfeusza)
coraz bliższe
łagodniejsze

nie pamiętam
o czym wtedy myślałem
być może o śmierci
o tym
jak niewiele potrzeba
by stać się cieniem
tańczącym o zmierzchu
błędnym ognikiem
— z grobli



być może chciałem umrzeć
z tym wspaniałym
widokiem w oczach
pewny że już nigdy
piękniejszego
nie zobaczę

a może
zauroczony światem
pytałem za tobą Janie
dlaczego wszyscy umierają
a nie tylko
niektórzy

a może
wciąż myślałem o życiu
tym od którego
z szybkością
sto czterdzieści kilometrów na godzinę
uciekałem

o samotności
latach które straciłem
na nocnych
potajemnych wędrówkach
po bramach miasta
przypominających nawet za dnia
wrota piekła
i może
nawet sobie wmawiałem

że jadę
ubłagać jezioro
o oczyszczenie prosić
z win moich
tych rzeczywistych
i tych
urojonych
a może
o młodości
nie wiem

pamiętam tylko że jechaliśmy
w porannym słońcu
we czterech
tak jakbyśmy chcieli uciec
na zawsze
w urojenia
przed przeznaczeniem

Wciąż czekam

Letnią nocą
gdy sen płoszą
wspomnienia
siadam przy oknie
osiem pięter nad ziemią
i patrzę
tam
gdzie kończy się miasto
a zaczynają łąki
rosiste
pachnące
i mgły
i kumkanie żab
gdzie do rana
łagodnie
swarzą się z wiatrem
olchy
i jest tak cicho
że słyszeć
szmer podziemnych strumyków
omywających
korzenie wierzb
na grobli
a w upalne
lipcowe popołudnia
rodzą się
gwałtowne burze po których

pozostaje w sercu
niepokój i lęk
do świtu patrzę
w rozświetlaną co chwila
tajemniczymi błyskami
przestrzeń
nasłuchuję co tam w dole
i o czym
śpiewają domy i kamienie
przyjmuję raporty
gadatliwych świerszczy

wciąż czekam
na coś
co mi przed laty obiecywano

nadaremnie

Ostatnie wakacje

Ostatnia niedziela sierpnia
cicha podlaska wieś
dookoła
dogorywa lato
od rana
patrzę
na pogrążone
w sennej zadumie
wiązy
zapamiętuję podwórko
dojrzewający sad
melancholijne nawoływania sygnaturki
z sowej wieży kościółka
w którym jeszcze przed tygodniem
służyłem do mszy
i niebo które
na ten dzień
pożyczyło kolory
od fioletowych śliw
i łąki

od rana
unikam wzroku matki

boję się że odgadnie
że ja się żegnam

nie tylko z latem
że autobus który
przyjedzie o czternastej siedem
wywiezie mnie stąd
w miejską pustkę
na zawsze
i udaję że nie widzę
jak ukradkiem
do walizki mi kładzie
wizerunek Przenajświętszej Leśniańskiej
Panienki
i oddaje mnie pod Jej opiekę
od rana
palę listy
wykradam fotografie
dzieciom sąsiadów
rozdaję książki
zacieram
wszelkie ślady
po sobie

Pytają mnie

Pytają mnie
co tam nad Krzną
a ja
nawet nie wiem
czy jeszcze płynie
może już do wiecznego snu
ukołysały ją
siwe topole

a może tamtych topól
też już nie ma
i ludzi
może już nie nadrzeczne
lecz niebiańskie
grabią łąki
i pewnie mówią o mnie źle
że się ich
i bajek
modlitw i zaklęć
wyparłem

to dlatego
wciąż bez celu
nieprzytomny i ślepy
wokół siebie krążę

Wszystko już było

Znowu myślałem o nas
o tej naszej
zwarowanej paczce
mocno już
przez życie
poszczerbionej

i o tym
co żeśmy zrobili
i czego nigdy
nie uda się nam
dokonać

i co powinniśmy
im powiedzieć
tym którzy
nas zepchną
w zapomnienie
albo inaczej
tym którzy
przyjdą po nas

niczego nie wymyśliłem
bo wszystko
już było
i w życiu
i w książkach

bo zawsze
jest nie tak
jak sobie wymarzyłeś
bo zawsze w końcu
kładzie na wszystkim
swoją ciężką łapę
nieprzekupna śmierć

Dziękuję za życzenia
tak to właśnie wczoraj
ukończyłem trzydzieści dziewięć lat
nie bój się
nie zamierzam pisać życiorysu
cóż
tak jak i ty
chwalić się nie mam czym
a wstydić
sam już nie wiem czego
i pytasz mnie
czy wciąż jestem taki sam
otóż nie przyjacielu
zważniałem
mam samochód
telefon
coraz rzadziej uśmiecham się
najczęściej mówię tak jest
i jestem
taki jakiś nierzeczywisty
w swoim M-5
przy ulicy Paryskiej
przyjedź
uciekniemy razem
na zawsze zawieruszmy się
w naszych łąkach

Miasto

To miasto tylko udaje
że się przed tobą
otwiera

nie wierz mu
ono samo
zagubiło się w płataninie
swoich ulic
i schodów
chce cię wciągnąć
w swoje mroczne sprawy
jest chore
nocami

płaczą mu w parkach drzewa
trawi je gorączka
zżera je samotność
butwieje w rynsztokach
rozpada się na dzielnice
na pół miliona komórek
placów i domów

uciekaj dopóki nie jest za późno
ratuj siebie

Nocne miasto

Ci wszyscy których
spotkałem wczoraj późną nocą
w parku
na ciemnej ulicy
przed robotniczym hotelem
na parkiecie
pijanej knajpy

alkoholicy i próżniacy
cwaniacy i złodzieje
nieszczęśliwcy
niedoszli samobójcy
chorzy z rozpacz
nie wierzący nikomu
przeklinający siebie
ziemię i niebo
samotnicy
szukający bezskutecznie
prawdy
i swojego miejsca w życiu

oni wszyscy
mieli moją twarz
moje usta oczy
a w oczach
ten sam
mój strach

Musiałem nad ranem

wchodząc do swojego mieszkania

rozumiałem

że zdarzyło mi się być

w piekle

Inaczej nie umiem

Pytasz mnie dlaczego
wciąż mówię
szeptem

odpowiem ci zwyczajnie
nie wiem

a cóż mam ci odpowiedzieć
że boję się słów
gwałtownych
ostrzych
że lękam się nawet
ich odbitego
od ścian
echa

i nie mów
że mnie rozumiesz
bo może ja udaję
że inaczej nie umiem
najlepiej więc zrobisz
jeśli
zostawisz mnie
samemu sobie
w tych łąkach
w tym zamglonym sadzie

i w tych czterech ścianach które
nocami
za mnie
krzyczą

odpowiem ci z wyznaniem
nie wiem

z sobą mam ci odpowiedzieć
że poję nie słów
zwyczajnych
ostre
że lekam się nawet
ich oddziały
od ścian
- echo

i nie mów
że mnie rozumiem
bo może ja udaję
ze inaczej nie umiem
najlepiej więc zrodzić
jakiś
zostawić mnie
samemu sobie
w tych ścianach
w tym zamkniętym świecie

Idąc łąką

Idąc
ocienioną starymi wierzbami
zdziczałą łąką
myślisz pewnie
o latach które minęły

wyłuskujesz je delikatnie z pamięci
dzień po dniu
wiosna po wiosnie
aż po tę jesień
cichą
zamgloną
tężającą w żyłach chłodem
przyczajoną groźnie
w rudych trawach
i w wierzbowych
nagich chaszczech

wspominasz podróże
do miejsc w których
nigdy nie będziesz
nieskończenie piękne krajobrazy
upalne plaże
zimne i sterylne
sale Luwru i Prado

przywołujesz miłość
zapach jej włosów

delikatną linię bioder
i to
jak się uśmiechała
wtedy wieczorem
w rozgrzanych wrzosach
i w domu
gdy podnosiła do ust herbatę

i ciągle jeszcze się lękasz
że odejdziesz
tak nagle
jak odeszła

myślisz też pewnie
o pieniądzach
a raczej dlaczego
wciąż masz ich tak mało
i o tym
że poza strachem
nie dorobiłeś się
niczego

potem
siadasz na wysokim brzegu
leniwie płynącej rzeki
i długo
patrzysz w dół
w pluskające się w wodzie
połyskliwe i zimne
niebo

twarz starego człowieka
jest szara
zmęczona
i nijaka

z przerażeniem odkrywasz
że przyglądasz się
sobie
i że nie masz już
po co i dokąd
wrócić

kontemplowałem
smutek znaków Starego Miasta
chłodny pobitek kosmopolu
modlił się za przegrywających
i ponurą
niezłaskiwanych

szedłem w kierunku znaków
zaczynających na Placu Litewskim
własny smutek
pytałem jak żyć

Dlaczego

Moje oczy
dlaczego widzicie
tak mało
stąd dotąd
to i tamto
tyle
co nic
i dlaczego poruszam się
po omacku
i wciąż nie wiem
jak i dokąd
mam iść

Tęgo dnia

Dwudziestego drugiego maja 1984 roku
do późnej nocy
samotnie
błądziłem po mieście

trochę rozmawiałem z sobą
bez żalu
na zawsze
rozstawałem się z niektórymi
wspomnieniami
innym
nadawałem nowe
znaczenia
uczyłem się
opanowywać emocje

kontemplowałem
smutek zaułków Starego Miasta
chłodny półmrok kościołów
modliłem się za przegranych
i poniżanych
nienawidziłem nienasyconych

osiemdziesięcioletnich staruszków
demonstrujących na Placu Litewskim
własną śmierć
pytałem jak żyć

nie pyta
tylko żyj odpowiadali
i uśmiechali się
jakby
znali tajemnicę
wiecznego trwania

tego dnia
w czterystutysięcznym mieście
zamknięte były przede mną
ważne
i nieważne drzwi
a u przjaciół i znajomych
ogłuchły telefony

tego dnia
o mało co nie przestałem wierzyć
w człowieka

Jeszcze nie jest za późno

A jednak
istnieją znaki
że nie wszystko
na tym dziwnym
i okrutnym świecie
jest złe
i zepsute

okazuje się
że można kochać
wierzyć w szczęśliwą przyszłość
w człowieka
spodziewać się czegoś
bardzo pięknego
po nim
i po mnie
i po tobie
i po was

a więc dopóki umiemy
zachwycić się
zwinnym lotem sokoła
cichym majowym wieczorem
za miastem
nad rzeką
kwitnącym sadem

wysmukłą sosną
i falującym zbożem

jeszcze nie jest za późno
jeszcze nie jest wszystko stracone

Jeśli dopisze nam szczęście

Ukryty w olszynach
śledzę
lot jastrzębia
wysoki dostojny

to musi być straszne
tak z góry
patrzeć
na ziemię
ludzi
jak zabiegają
liczą
gromadzą
a jak już wszystko mają
stają się jeszcze bardziej
samotni
i w końcu
jakby tych nieszczęść
nie mieli dosyć
umierają

zamykam oczy
nie chcę go więcej widzieć

ptak jednak
wciąż szybuje
statecznie dookolnie

tak jak wtedy
przed laty
gdy w ogódkach za płotami
kwitły czerwono
wielkie
dorodne malwy
a w soboty
tęsknie śpiewały o miłości
że jej nigdy nie zapomną
sitnickie panny
Wala Małgorzata i Maria
i do późnej nocy
tliły się w chałupkach
świętojańskie robaczki
naftowe lampy

a ja w łąkach
zapatrzony w roziskrzoną przestrzeń
roiłem o nieśmiertelności
i że jak on
polecę
po szczęście
i już nie wrócę
do tej ojcowskiej
żytnio-kartoflanej biedy
w pałacu
w wielkim mieście zamieszkałem
wśród dozgonnych przyjaciół
i książek

o moje marzenia wiosenne
przepastne
jak podlaskie łąki

- dzisiaj
przywarowałyście lękliwie
w tych zamglonych
zwarzonych pierwszym mrozem
olchach
czyżby i was
przeraziło życie
czyżby i was
poraziło zmęczenie
i ta pewność że wkrótce
będziemy musieli stąd odejść
i może
(jeśli dopisze nam szczęście)
uda się nam
zamieszkać w korzeniach

i nie staniemy się
białą chmurą
i nie rozplyniemy się
w powietrzu
jak ten jastrząb który
był tu jeszcze przed chwilą
a zostało po nim
tylko wspomnienie
a więc tyle
co nic

Tylko miejsca

Nie drwij ze mnie
przecież
tak jak i ja
w dzieciństwie
pasaleś krowy
w żniwa to samo
paliło nas słońce
a zimą
ten sam mróz
odmrażał nam stopy
obute w ojcowskie
gumowce

nasza młodość

jakże wspaniale
byliśmy młodzi
przypomnij sobie
tę naszą górną
leśniańską młodość
nie mieliśmy nic
a wszystko
było nasze

być tak młodym
być tak biednym
nikt dzisiaj
nie potrafi

nie żałuj mnie
o straconych szansach
nie gadaj
nie jest mi źle
nawet wtedy
gdy roześmianą ulicą
w letnim zmierzchu idę
nieprzytomny z rozpacz
nie widzący nikogo
ze słowami
kalekiego psalmu na ustach

i nie mów że zaplątałem się
donikąd zagoniłem
bo może to jednak
życia wina
o tylu sprawach
każe nam milczeć
tyle rzeczy
już nam zabrania
a ileż słów
pozbawiło znaczeń
nawet te które koily
jak zapamiętana z dzieciństwa
modlitwa

nie drwij ze mnie
któregoś dnia
także zostaniesz sam
pominą cię przy nagrodach

medalem obdziela
kogoś innego
a przyjaciele znajdują
jeszcze wierniejszych przyjaciół
wtedy pewnie zapłaczesz
bo nawet poskarżyć się
nie będziesz miał komu
wszyscy będą zajęci
sobą

zostaną ci tylko
miejsca do których
będziesz mógł tęsknić
nadaremnie
jak ja

Prośba do ojca

Wybacz ojczy
że cię zawiodłem
i nie
nie zrobiłem
dla rodziny

nie zostałem doktorem
aby leczyć
nasze rany
ani profesorem
co grube książki pisze

nie nauczyłem się nawet
rozprawiać uczenie

wybacz ojczy
że cię nie przerosłem
że nie możesz
pochwalić się mną
przed sąsiadami

nie wypatruj mnie więc
w telewizyjnych salonach
tam
mnie nie zapraszają

i nikt
za mną
nie stoi

nikt też
mnie nie prosi
o poparcie
jego słusznych
idei

wybacz ojczyźnie
przez całe swoje życie
kierowałem się tylko
twoimi wskazówkami

Jesienią wieczorem

Jesienią wieczorem
nie podsłuchuj o czym
gwarzą trawy
nie staraj się zrozumieć
krzyku
uciekających na południe
ptaków

nie odprowadzaj ich
tęsknym wzrokiem

nie doszukuj się znaczeń
w szmerach
ociekających deszczem liści
w układzie chmur
nad horyzontem
i w tym że
telefon u przyjaciela
od tygodnia milczy

i niech cię nie obchodzi dlaczego
już o zmierzchu
pustoszeje miasto
zasłoń szczelnie okna
ucisz kołatanie serca

jesienią wieczorem
wszystko dookoła śpiewa

bardzo smutną pieśń
o przemijaniu
kto ją usłyszy
temu z rozpaczy
pęka serce

Widok z balkonu

Jest lipcowy słoneczny ranek
na pobliskiej budowie
dźwig boleśnie zgrzyta
za chwilę zacznie
swoją dostojny
wzdłuż ściany
taniec

uliczka pomiędzy blokami
idą robotnicy
pod pachami niosą
butelki z mlekiem
drugie śniadanie

ja patrzę w niebo
wypatruję obłoków
i tego ptaka
co skrył się w krzewach
i żałośnie kwili
czekam aż wypłoszy go
odgłos kroków
i drwiący śmiech
idących w półśnie
wyboistymi alejkami
ludzi

Rozmowa z bratem

Dokąd idziesz
tak rano
poszeptać
z rosistą
pachnącą księżycem
trawą

a o czym
o niczym

blagam
nie mów o tym nikomu
bo co sobie ludzie
o tobie
i o nas
pomyślą

Uciekam przed twoją miłością

Powiedziałś kocham i od tej chwili
nie miałem
spokojnej nocy

uciekam
kryje się w miejscach
dziwnych
niesamowitych

bezszykownie jednak
zawsze i wszędzie
mnie dosięgasz

O nas

Nie przestaję
myśleć o nas
o naszej miłości

z każdym dniem
coraz bliższa mi jesteś
z każdym dniem
wierniejsza

idziesz za mną
przez zielen i śniegi
mgły i listopady

nawet gdy wchodzę
na chwiejące się schody
jesteś ze mną

i teraz gdy piszę
ten ckliwy wiersz
i gdy kocham
kogoś innego
i kiedy mówię
że mam wszystkiego dość

ty zawsze jesteś ze mną •
ty i lęk

Wrześniowy dzień

Przez cały dzień
nie zrobiłem nic

do zmierzchu patrzyłem
jak na wierzchołkach topól
przysiadaly
zmęczone obłoki
zgadywałem
ich zapach
skąd płyną
i co widziały
tam

za widnokretem gdzie
kiedyś byłem

przez cały dzień
siedziałem pod wiazu rozłożystym

dachem

i patrzyłem patrzyłem patrzyłem
na chłodniejącą ziemię
i niedostępne niebo

oczekiwałem ratunku

Jak to dobrze

Jak to dobrze
że mogę pisać
o sobie

jestem młody bogaty wolny
czas upływa mi na
podróżach
i rozmowach z przyjaciółmi

jak to dobrze
że potrafię zapomnieć
o sobie
i o tym że jestem
stary samotny i biedny
nie mam przyjaciół
że jestem takim
176-centymetrowym nic

jak to dobrze
że chce mi się jeszcze
żyć

A wczoraj

Masz trzydzieści dziewięć lat
i jak dotychczas
sobie tylko
byłeś potrzebny
wszystko
obok przeleciało
innych dotyczyło
spowszedniała miłość
tęsknoty
i marzenia

a wczoraj
po raz pierwszy
upomniała się już o ciebie
ziemia

Moja modlitwa

Nie opuszczajcie mnie
dobre sny

nie omijajcie mnie
łaskawi ludzie

czuwaj nade mną
moja gwiazdo

wybacz żem słaby pełen
wątpliwości i winy

ulecz mnie z rozpacz
i strachu

i nie pozbawiaj mnie
wiary w złudzenia

Nad ranem

To zdarzyło się
tamtej majowej nocy kiedy
wokół naszego domu
zakwitły mlecze

nagle
zdałem sobie sprawę
że nie wszystko
znajduje się
na swoim miejscu
że ja sam
jakbym był
w letargu
że od pewnego czasu
coś umiera we mnie

nad ranem
zacząłem stawiać barykadę
przygotowywać się do walki

Rozstanie

Noc może się już skończyć
znamy już
nasze tajemnice
straciły blask nasze oczy
i już
nie szukają się
nasze usta
i ręce

To mi wystarczy

Wiem

są na świecie sprawy o których
nawet
najmędrsze książki
milczą

ale

to mnie nie obchodzi
niech sobie będą

żyję nie obrażając Boga
nie przeszkadzając Diabłu
nie szkodząc bliźnim

i to mi wystarczy

Kołysanka

Snem być
i śnić się nieszczęśliwym
samotnym
i tym którzy
jak ja
wciąż nie wiedzą

snem być
dobrym snem
śnić się
śnić się
śnić

Nie bój się
to jeszcze nie ja

to tylko deszcz
skrada się
po liściach
łopianu
to tylko zmierzch
ucieka
na strychy
przed burzą

Dziewczyna ze snu

I znów
śniła mi się dziewczyna
z młodych lat
szliśmy brzegiem
leniwej
szeroko rozlanej rzeki
w stronę
płomieniącego się rdzawo
porannego słońca

tak będziemy iść zawsze
mówiła
i mnie i światu
i kochać się aż po śmierć będziemy
mówilem
i jej i światu

trzymaliśmy się za ręce
byliśmy szczęśliwi

Tylko daty

Moje życie to tylko
dwie daty

po między nimi
odrobina radości
trochę rozpaczy
nagle uciezki
w złudzenia
i szybkie
z opuszczoną głową
powroty
i podróże podróże podróże
do pracy
i z pracy

zwyczajne jest moje życie
niewarte powtórzenia
jak ten wczorajszy
mglisty i zimny
dzień listopadowy

Kiedyś marzyłem

Kiedyś mówiłem
jakże niewiele mi potrzeba

chcę mieć tylko
dokąd wracać wieczorem
chleb na stole
i jeszcze
tak przeżyć z tobą
dni wiosny
zimy i lata
ażeby ludzie
mówili o nas
tylko dobrze

i to wszystko
to mi na całe
życie wystarczy
mówiłem niemądrze

dzisiaj wiem
że pragnąłem zbyt wiele

Pożegnanie stołu

Ten stół staruszek przy którym
siadaliśmy wielką
zgodną rodziną
do świątecznego rosółu
i dzieliliśmy się
opłatkiem
który widział
łzy matki
pożegnania i powroty
i małe radości
i wielkie kłopoty
nie doczeka już
chyba zimy

dumny i wyniosły
przekonany o swojej nieśmiertelności
nie wie że wkrótce
wysiedlony zostanie
do komory

na środku pokoju
brat
postawi stół nowy
na wysoki połysk

miastowy

Coraz częściej

Coraz częściej
gdy spotykam
przyjaciela z młodych lat
sąsiada z wioski
czy kobietę o której
kiedyś
mogłem tylko śnić
milczę

a przecież tyle
miałem im do powiedzenia
a przecież
tak chciałem przed nimi
serce otworzyć

to straszne myślę
a jednak
oni także
nie mają mi nic
do powiedzenia

okazuje się
że rozminęliśmy się
że boimy się siebie
i że jesteśmy
tak zwyczajnie
po ludzku
obcy sobie

Świat to szept
łagodny i tkliwy
człowieka z człowiekiem
fali z brzegiem
lasu z wiatrem
kosy
z dojrzałym lipcem
i nic
na nim nie ma
oprócz szeptu
i nabrzmiewającej wciąż
grobowej ciszy

Któregoś dnia

Człowiek idzie przez życie
jak przez krótki
i niespokojny
sen

przeżywa wielką miłość
zarabia pieniądze
wydaje pieniądze
buduje
marzy
zdobywa przyjaciół
i nie cofa się
nawet o sekundę

nagle
któregoś dnia
spostrzega
że jest sam

niespodziewanie
zdaje sobie sprawę
że synowie są już mężczyznami
zagajnik który
odwiedzał z dziewczyną
szumiącym lasem
a on
wciąż szedł

przez te same
ciągle
powtarzające się miejsca

ale wtedy
nie ma już czasu
na rozpamiętywanie

ogarnia go wielka żalść
płaci ostatni rachunek
i odchodzi
w wieczny sen

Wczoraj wieczorem

Nie szukajcie mnie
wczoraj wieczorem
przeniosłem się na drugą stronę
Mlecznej Drogi

zabrałem ze sobą
ciszę i spokój
ptaki i zielen
żniwny cień
polnej gruszy
wspomnienie tamtych
młodych sobót
i niedziel
kiedy jeszcze kochałem
i ciebie
i świat cały

kiedy jeszcze wierzyłem
w niebo
w ziemię
i w siebie

Stary człowiek mówi

Niepostrzeżenie
życie uciekło mi
jak spłoszony o zmierzchu gołąb
daleko
za siódmą górę
za tamtą
siwą rzekę
i już mnie chyba
nie usłyszy
choćbym je
ze wszystkich sił
wołał
i już go pewnie
nie dogonię
nawet
w sto koni

niepostrzeżenie
zostałem sam
z martwiejącym sercem
z wypalonymi oczami
tak jakbym
już wszystko
widział
tak jakbym
już niczego
nie pragnął

jakbym czekał
już tylko
na śmierć

niepostrzeżenie

Nas nie ma

To straszne
nas nie ma

gnuśniejemy w butikach
jarmarcznych budach
i w warzywnych kioskach

a przecież
kiedyś marzyliśmy
że pewnego dnia
zostaniemy wszystkim
że zmierzymy się z tym
co niezmierzone
że zdobędziemy to
co niezdobyte

tymczasem
zostaliśmy niczym
i nie starczyło nam nawet sił
aby pozostać
tym
czym byliśmy
sobą

Zaduma

Czym jesteś życie moje
ciszą
ciągłym oczekiwaniem
pogodną letnią nocą mijasz
czy wleczesz się
jesienną szarugą
smutną zimą

Czym jesteś życie moje
dokąd z tobą płynę

Gdzie jesteś

Pytam cię miła moja
czy to ty jesteś
tą dziewczyną która
tamtego lipcowego wieczoru
w domku nad rzeką
naga
śmiała się
tylko do mnie

i powiedz jeszcze
czy wrócisz
i gdzie teraz jesteś

Jestem szczęśliwy

Stoję w oknie i patrzę
na ociekające deszczem góry
na listopad
na czerwone klony
za rzeką

myślę o tym że jestem szczęśliwy
wspominam przyjaciół
układałam do nich listy

w pokoju jest cicho
słyszę
jak bez nagłych przyspieszeń
biegnie moje serce
i szelest opadających liści
i tajemnicze szmery w świerkach
nie napęlniają
mnie już lękiem
nie boję się już siebie
i jutra

Prośba

A teraz
powiem ci
co to znaczy tęsknić

to widzieć ciągle
twoje wysmukłe dłonie
zagubione w moich rękach
w szumie wiatru
słyszeć twoje słowa
w zapachu łąki nagle
odkryć zapach twoich włosów
i nocami widzieć cię
jak biegniesz ku mnie
i całować we śnie
twoje białe piersi

a teraz
zanim nadejdzie świt
powiedz mi
jak ty
za mną tęsknisz



Spis rzeczy

- *Niewiele pamiętam /5
-Kiedy przymykam oczy /7
Porozmawiajmy /8
Mnie już tam nie chcą /9
Fragment życiorysu /11
Nadal bez wytchnienia /12
Umykają dni /14
Ucieczka w urojenia /15
Wciąż czekam /20
*Ostatnie wakacje /22
Pytają mnie /24
Wszystko już było /25
Pytasz mnie /27
Miasto /28
Nocne miasto /29
Inaczej nie umiem /31
Idąc łęką /33
Dlaczego /36
Tego dnia /37
-Jeszcze nie jest za późno /39
-Jeśli dopisze nam szczęście /41
Tylko miejsca /44
Prośba do ojca /47
-Jesienią wieczorem /49
Widok z balkonu /51
Rozmowa z bratem /52
Uciekam przed twoją
miłością /53
O nas /54
Wrześniowy dzień /55
Jak to dobrze /56
A wczoraj /57
*Moja modlitwa /58
Nad ranem /59
Rozstanie /60
To mi wystarczy /61
Kołysanka /62
Głos /63
Dziewczyna ze snu /64
Tylko daty /65
*Kiedyś marzyłem /66
Pożegnanie stołu /67
*Coraz częściej /68
Wieczór autorski /69
Któregoś dnia /70
Wczoraj wieczorem /72
Stary człowiek mówi /73
Nas nie ma /75
Zaduma /76
Gdzie jesteś /77
Jestem szczęśliwy /78
Prośba /79

„Wiersze Henryka J. Kozaka wyróżniają się korzystnie spośród utworów poetów, którzy zadebiutowali w latach siedemdziesiątych.

Wiersze te odznaczają się z reguły znacznym liryzmem, co nie jest dziś częste, nie starają się być na siłę „nowatorskie”, a wykorzystują w sposób indywidualny określone tradycje. Kozak opisuje najczęściej rzeczywistość sobie najbliższą, wiejską, która utraciła już wprawdzie wiele ze swych sielskich uroków, lecz wciąż rysuje się w sercu i zmysłach całkiem inaczej niż nasze betonowe miejskie pejzaże. Kontakt nieokazjonalny, „niewakacyjny” z przyrodą — przynosi doznania bardzo intymne zarazem i bliskie tym wszystkim, którzy nie utracili wrażliwości na urodę natury oraz jej odradzające tak fizycznie, jak psychicznie siły człowieka.”

Zbigniew Dolecki

„Tygodnik Kulturalny” 1982, nr 26

XIII B
Koz

Cena zł 60.